

Dunin-Wąsowiczowa, Janina

"Nowiny Żoliborskie" podczas powstania warszawskiego (wspomnienia)

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 8/2, 271-274

1969

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANINA DUNIN-WĄSOWICZOWA

„NOWINY ŻOLIBORSKIE” PODCZAS POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO*

(WSPOMNIENIA)

Porannym dziennikiem powstańczym na Żoliborzu były „Nowiny Żoliborskie”. „Nowiny” były też pierwszą gazetą powstańczą na Żoliborzu, bo już w pierwszym dniu powstania redakcja zorganizowała się i przystąpiła do pracy.

Redakcja „Nowin Żoliborskich” mieściła się w tzw. Hotelu Oficerskim przy Placu Inwalidów. Był tam lokal Mieszkaniowej Spółdzielni Oficerskiej, a podczas powstania zamienił się na lokal Obywatelskiego Komitetu Pomocy pod kierownictwem znanego działacza żoliborskiego płk. Heczko, który użyczył osobnego pokoju dla redakcji „Nowin Żoliborskich”. Redaktorem „Nowin” został mój mąż Władysław Dunin-Wąsowicz, zawodowy dziennikarz, długoletni działacz w naczelnych organach Związku Dziennikarzy RP. Już w pierwszym dniu powstania mój mąż spotkał w lokalu Obywatelskiego Komitetu profesora Józefa Feldmana, znanego nam podczas okupacji wykładowcę na Tajnym Uniwersytecie Warszawskim pod nazwiskiem Sokołowski. Profesor Feldman przyniósł przepisany na bibułce w kilku egzemplarzach nasłuch radiowy, wystukany na maszynie prof. Stefana Truchima, u którego zamieszkiwał podczas okupacji. Wówczas nastąpiło porozumienie prof. Feldmana, płk. Heczko i mego męża, po czym postanowiono materiały z nasłuchu radiowego przekształcić w codzienną gazetę.

Dla starego dziennikarza była to prawdziwa radość, że można będzie wydawać jawnie gazetę, choć skromną, odbijaną na powielaczu. Do pomocy stanął drugi dziennikarz „z prawdziwego zdarzenia” — redaktor Janisławski. Zespół redakcyjny szybko się zorganizował. Chętnych ludzi do tej pracy zgłosiło się nawet sporo. Ważną funkcję maszynistki objęła

* Fragment obszerniejszej pracy o 7 pismach wychodzących podczas powstania na Żoliborzu, pt. *Powstańcza Prasa żoliborska*, znajdującej się w zbiorach Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego XIX i XX w. PAN.

p. Janochowa. Przenosiła ona na matrycę dostarczane jej przez redaktorów rękopisy, a na powielaczu odbijał je następnie Henryk Kowalczyk. Pani Janochowa w pracy swojej starała się zagłuszać troskę o jedynego syna powstańca, który walczył na dalekim Mokotowie.

Drugim odpowiedzialnym zadaniem było zdobywanie dla redakcji „Nowin” nasłuchu radiowego. Aparat radiowy, który służył do nasłuchu, znajdował się w dość odległym punkcie przy ul. Czarnieckiego 64, a ulica ta była pod ciągłym obstrzałem nieprzyjaciela. Aparat radiowy przeniesiono potem do Fortu Sokolnickiego, znajdującego się w parku żoliborskim. Wydawało się, że droga przez park będzie bezpieczniejsza. Niestety, nie była bezpieczna. Pan Skudlarek, który chodził po nasłuch, w jednej ze swoich wędrówek został śmiertelnie trafiony odłamkiem pocisku. Był to dla nas wielki wstrząs. Pozostała żona i dwoje małych dzieci... Mąż mój uważał, że teraz nie jest w stanie proponować komuś innemu pełnienia tej funkcji i zaczął sam chodzić po nasłuch. Stało się to dla niego ciężkim przeżyciem, kiedy słuchając radia londyńskiego usłyszał wiadomość, że Niemcy likwidują więźniów we wszystkich obozach koncentracyjnych. Mieliliśmy w obozie koncentracyjnym w Stutthofie dwóch synów, obawa o nich nie opuszczała nas. Teraz mąż mój dowiedział się o nowych straszliwych zbrodniach hitlerowskich, skwapliwie podanych do wiadomości polskich słuchaczy. Ileż to rodzin, ojców, matek i żon mogło się w ten sposób dowiedzieć o zagładzie ich najbliższych, tak jak o tym dowiedział się mój mąż, który, sam zgębiony, nie zdradził się przede mną z tą straszliwą wiadomością...

Do redakcji „Nowin Żoliborskich” przychodziło wielu ludzi i wielu proponowało swą współpracę. Przede wszystkim dziewczęta podejmowały się funkcji kolporterek. Toteż „Nowiny” szybko dochodziły do rąk czytelników niemal na całym Żoliborzu. Gorliwymi kolporterkami, a także pomocnicami przy odbijaniu gazety na powielaczu, były dwie siostry Alina i Iza Baruchówny. Codziennie też „wizytował” redakcję prof. Feldman, nie mogący doczekać się, aż mu do domu przyniosą gazetę. Chodził po pokoju w nerwowym napięciu, gdy gazeta jeszcze nie była gotowa, a redaktorzy skarżyli się, że przy takim dopingu trudno im pracować. Przychodzili gońcy z innych redakcji żoliborskich, by otrzymać egzemplarze „Nowin”.

W miarę piętrzących się trudności przy wydawaniu gazety zjawiali się jeszcze inni, chętni do pomocy ludzie. Zaczęło brakować matryc, papieru i farby do powielania. Inżynier Kosiński fabrykował własnym przemysłem farbę ze zdobytych składników. Podobno jakieś smary i proszki znalazły się w fabryce kosmetyków dr Świtalskiej na Żoliborzu. Ta więc potrzeba została zaspokojona, ale jak zdobywać matryce? I tu dochodziło do anomalii. Powstańcze gazety żoliborskie otrzymywali przecież czytelnicy za darmo, a tu zjawiał się pewien człowiek, który pragnął robić przy tej spo-

sobności interesy. Zdobył on gdzieś pewną ilość woskówek, zresztą dość kiepskich, dla swego prywatnego wydawnictwa i sprzedawał je drugim pismom... kilogram mąki razowej za jedną matrycę. Musiało się pójść i na taką transakcję. „Nowiny” wydrukowały apel do czytelników, który dał piękny rezultat, gdyż do redakcji zaczęły napływać torebki z mąką, byleby tylko gazeta nadal wychodziła. Należało się starać nawzajem, aby gazeta była ciekawa i aktualna. Prócz wiadomości z nasłuchu drukowano często informacje przynoszone przez mieszkańców Żoliborza, coś w rodzaju reportaży. Zamieszczano też własne, redakcyjne reportaże o sytuacji Żoliborza na różnych odcinkach, a także wywiady. „Nowinom” udało się znaleźć osobę, która była w założonym przez Niemców obozie pruszkowskim. Była to lekarka dr Frühauffowa, która rzuciła snop światła o tym przeklętym obozie. Nie przeczuwaliśmy, że niedługo wszyscy tam się znajdziemy. Inny wywiad dla gazety przeprowadził mój mąż z prof. E. Kipą. Przybył on na Żoliborz kanałami ze śródmieścia w końcu sierpnia razem z przedwojennym wiceprezydentem miasta Kulskim i płk. Meyerem. Prof. Kipa w wywiadzie oprócz opowieści o swej „podróży” na Żoliborz zobrazował także życie Warszawy. Wyciągnęliśmy z tego opowiadania wnioski, że „wszystko dobrze”. Warszawa trzyma się doskonale. Jedzenia dość, ludność cywilna zorganizowana i bezpieczna w głębokich piwnicach. Duch w wojsku wspaniały. Pewność zwycięstwa.

Udało się też redakcji „Nowin” przerysować na matrycę mapę, na której pokazane były strzałkami ruchy trzech frontów radzieckich. Mapa ta wyszła doskonale i można było w miarę posuwania się naprzód poszczególnych armii radzieckich przesuwac też odpowiednio strzałki na mapie. Numer „Nowin” z mapką rozszedł się po Żoliborzu, a w kuchni żołnierskiej przy ul. Czarnieckiego mapka ta została wywieszona na widocznym miejscu. Oglądali ją chłopcy przychodzący do kuchni z kotłami po zupe, a także sporo osób cywilnych, pragnących śledzić na mapce ruchy strzałki. Pamiętam doskonale te „zbiórki” przy mapce i rozmowy, z których wynikało, że szczególne znaczenie przywiązywano do ruchów wojsk marszałka Koniewa.

Początkowo „Nowiny Żoliborskie” zużywały do wydania każdego numeru gazety po dwie matryce, których było sporo w zapasach Spółdzielni przy Placu Inwalidów. Zamieszczano nasłuchy następujących stacji: Londyn, Warszawa na fali Londynu, Moskwa, Radio „Świt”, Radio „Kościuszko” z Lublina. Zamieszczono wiele artykułów o działalności AK na prowincji, komunikaty z frontów, informacje miejscowe, a następnie ukazała się też rubryka pt. „Korespondencja zaginionych rodzin”. Podawano adresy przyniesione do redakcji i prośby o adresy zaginionych.

W końcu zaczęło brakować matryc i trzeba się było udać do innych redakcji na Żoliborzu z prośbą o użyczenie „Nowinom” pewnej ich ilości.

Wędrowniki od redakcji do redakcji, poznawanie się z kolegami-dziennikarzami dały pewne wyniki i „Nowiny” mogły nadal wychodzić. Jak już wspomniano, farbę do powielania robiono własnym przemysłem, a papieru sporo przynieśli czytelnicy „Nowin”, którzy wyszukiwali resztki zapasów swoich i wśród znajomych.

Redakcja „Nowin Żoliborskich” rozpoczęła swoją pracę w osobnym pokoju na drugim piętrze domu przy Placu Inwalidów 10. Kiedy jednak ostrzał nieprzyjaciela od strony Dworca Gdańskiego stał się bardzo silny, redakcja przeniosła się o piętro niżej, a następnie na parter. W ostatnich dniach września nastąpiło silne bombardowanie niemieckie, należało schronić się do piwnicy. Pamiętam dzień 29 września, kiedy redakcja „Nowin” pracowała „pełną parą” w piwnicy, przepełnionej ludnością cywilną, która tu, pod mocnymi, zdawało się, murami Hotelu szukała bezpiecznej kryjówki. Zapamiętałam doskonale wrażenie, jakie odczuwałam w głębokiej piwnicy, że gdy grzmiało dookoła od wybuchów bomb, zdawało mi się, że wielki, trzypiętrowy budynek chwieje się to w prawo, to w lewo, jak samotne drzewo pod podmuchami wichru.

30 września rano już ani ja nie poszłam do swojej pracy w zbrojowni przy ul. Suzina, ani też „Nowiny Żoliborskie” nie wyszły. Wczesnym rankiem tego dnia wyprowadzili nas Niemcy na wiadukt żoliborski i dalszymi ulicami Warszawy na Dworzec Zachodni, aby stamtąd wywieźć do obozu pruszkowskiego.

W Bibliotece Zakładu Historii Partii przy KC PZPR zachowało się zaledwie kilka numerów „Nowin Żoliborskich”. Osobiście nie zachowałam ani jednego numeru gazetki, tak drogiej bądź co bądź pamiątki. Oboje z mężem, wyprowadzeni z piwnicy przez żołdaków hitlerowskich, nie zabraliśmy z sobą nawet najpotrzebniejszych rzeczy, a zegarek, który miałam na ręku, zerwał mi żołnierz niemiecki. Dopiero „na wygnaniu” w Krakowie, gdzie dostaliśmy się szczęśliwie (po selekcji w Pruszkowie) jako ludzie starzy, nie nadający się do obozu pracy, wpadła memu mężowi do rąk jego powstańcza gazeta. W ten cienki arkusz zadrukowanego papieru owinęliśmy jakiś produkt do paczki żywnościowej, którą wysyłailiśmy do synów do obozu w Stutthofie. Gdy ją tam chłopcy nasi znaleźli, radość była nieopisana. A my z mężem podczas długich dni oczekiwania wolności przenosiliśmy na kartki pamiętnika wspomnienia z powstania, wierząc wciąż niezachwianie, że wspomnienia te czytać będą synowie. I dlatego mogłam tutaj pokrótce odtworzyć dzieje tego najbliższego memu sercu powstańczego żoliborskiego pisma.